

JOANNA WSPANIAŁA

Obejrzałem niedawno w warszawskim „Teatrze Powszechnym” przedstawienie „Romea i Julia” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Kilka dni później telewizja pokazała „Poskromienie złończy”. W jednym i drugim spektaklu główną rolę kobietą grała Joanna Szczepkowska. I jak grała.

To jest niezwykle, po prostu niesamowita sprawa. W jednym czasie dwie role tak różne. Wielka rzecz. Dziwiwiaga.

Słyszac, że Wajda powierzył Szczepkowskiej rolę Julii, byłem zaskoczony. No cóż, powiem brutalnie, mnie się wydawało, że aktorka jest zwyczajnie za stara. Nieładnie jest mówić o wieku kobiecym, Joanna Szczepkowska to z pewnością osoba młoda, ale bądź co bądź Szekspirowska Julia liczy sobie lat czterdzieście. W środowisku teatralnym mawia się, że już studentki szkoły teatralnej są zbyt stare i zbyt dojrzałe, żeby podobać tej roli, a Szczepkowska jednak szkołę skończyła jakiś czas temu.

Ale szybko się okazało, że mój sceptycyzm był zupełnie nie na miejscu. Widziałem „Romea i Julię” parokrotnie i zawsze się nudziłem śmiertelnie. Tym razem, przede wszystkim za sprawą Szczepkowskiej, było zupełnie inaczej.

Julia to niezmiernie trudna rola dlatego, że bohaterka Szekspira pod wpływem miłości i cierpienia ulega bardzo głębokiej przemianie. Tej przemiany zazwyczaj nie daje się pokazać na scenie. Albo aktorka dobrze wypada na początku, gdy Julia jest beztroską i naiwną dziewczynką i wtedy zawodzi w tragicznych scenach końcowych, albo odwrotnie – aktorka potrafi udziwi-

gnąć tragizm finału, ale wtedy z początkiem jest kiepsko. Otóż, Szczepkowskiej udało się i jedno, i drugie, dzięki czemu zobaczyliśmy, jak dziecko na naszych oczach staje się dojrzałą, cierpiącą kobietą.

Im jednak bardziej Szczepkowska przekonała mnie do swojej Julii, tym trudniej było mi uwierzyć, że będzie zdolna zagrać Kasję. Gdzieś Pzmy, gdzie Krym. Tu delikatna i krucha Julia, tam złośnica, która budzi powszechny strach. I znowu się okazało, że pomyliłem się okropnie.

Najdziwniejszy w tym wszystkim jest fakt, że Szczepkowska nie ma tak zwanych warunków, żeby grać złośnicę (co prawda, z tego, co napisałem, wynika, że wcześniej uważałem, że nie ma także warunków, aby zagrać Julię). Ale brak warunków w niczym tu nie przeszkodził. Wyszło na jaw, że Kasja, która piszczyci, zamiast gzmieć, jest równie zabawna i przekonująca.

Te dwie, szekspirowskie kreacje, które stworzyła Szczepkowska, każą myśleć jak zagadkową, ba, tajemniczą sprawą jest wielkie aktorstwo. W pewnym sensie wielki aktor jest istotą beczcielesną. Nie chodzi o to, rzecz jasna, że nie ma ciała. Ma, oczywiście, ale robi z nim coś takiego, że to ciało przestaje istnieć jako materialny przedmiot.

W podręcznikach semantyki czy logiki mówi się, że znakiem jest każdy przedmiot, który naszą uwagę odsyła do czegoś poza sobą, stanowiąc rodzaj przezroczystej szyby, pozwalającej zobaczyć widok za oknem. Otóż, wielki aktor z całego swego ciała, zwłaszcza zaś twarzy, czyni znak. W tym sensie materialność aktora niepostrzeżenie się ulatnia. To nie konkretnego człowieka widzimy na scenie, lecz postać, którą tworzy. Dlatego też wielki aktor, choć jako człowiek brzydki, na scenie może być piękny. Dlatego człowiek stary na scenie może być młody. Jego ciało jest znakiem, który stale odsyła poza siebie. I w tym sensie wielki aktor jest beczcielesny. Nie widzimy go, patrząc na scenę, spostrzegamy tylko to, co on nam pokazuje. Nie ma aktora, jest tylko postać, którą narysował.

A więc w sumie sprawa jest niby prosta. Nie należy być, należy pokazywać. Tylko, jak oni to robią ci wielcy aktorzy?

Magia, czysta, zupełnie niepojęta magia.

**JERZY
NIECIKOWSKI**